№ 35. Warszawa, dnia 16 (28) Sierpnia 1878 r. Rok XIII.—Tom XIV

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

ANTONI MALCZESKI *).

przez

Władysława Chodzkiewicza.

„Działo się w Warszawie przy ulicy Elektoralnej, w domu N. 796, na drugiem piętrze, a w szczególności w byłem mieszkaniu Antoniego Malczeskiego, d. 2 Maja 1826 r. po południu.

„Sąd pokoju powiatu i miasta Warszawy Wydziału 2-go, oddziału Spornego, sprowadzony doniesieniem Karola hr. Kossowskiego, pod N. 1346*m* zamieszkałego, o potrzebie opieczętowania pozostałości po Antonim Malczeskim, obywatelu Państwa Rossyjskiego, w stanie bezżennym i bez pozostawienia tu wiadomych sukcessorów, dziś zmarłym, zjechał tym celem w miejsce w akcie wyrażone...“

Bezpośrednie świadectwo śmierci spisane przy ciepłym jeszcze, samotnym i opuszczonym trupie człowieka, którego imię jest i zostanie chlubą naszego narodu, jakby żelaznemi kleszczami ściska za ręce, a wszelki wzgląd usuwając na stronę, wywołuje ostateczne oburzenie przeciw tym, których kamienne serce nie wzdrygnęło się na to niemiłosierne opuszczenie w tak solennej chwili.

Wejdźmy do samotnego, otworem stojącego mieszkania, na drugiem piętrze. Niewielkiej wartości mebelki nie gęsto zastawiają milczące kąty. Na łóżku ordynarnem, zasłanem skromną, wytartą derką, białem prześcieradłem przykryty, leży trup wycieńczony niezmiernem cierpieniem i długą chorobą. Prześcieradło nie przystaje do sztywnie rozciągnionego ciała: tu nogi, tam ręce, a tam głowa sterczy!...

Ludzie jacyś obcy, obojętni, z nachmurzonem czołem i z tym wyrazem w oku, co niby napół ciekawość i napół przestrach wyraża, przechodzą śpiesznie około trupa, zbierają graty, mebelki, szukają po szufladach, po półkach, po kątach; szukają po próżnych kieszeniach starego odzienia, znoszą to wszystko do ostatniego pokoju. Bez żadnego miłosierdzia znoszą te stare graty *niewielkiej wartości*, i bez porządku, bez ładu, spychają jedno na drugie.

Zamknęli kufer, szufladę, szafę — skończyli... Wychodzą milczkiem z pokoju, pieczętują drzwi od środka; łojowa świeca smutno jakoś błyszczy i dymi—to wczorajszy niedogarek, co ostatnią noc świecił przy łóżku nieboszczyka. Zebrani, skupieni przy drzwiach, milczą, śpieszą się, chcą skończyć. Otóż wyszli, a tu w pierwszym pokoju leży nieboszczyk, straszniejszy pod tem prześcieradłem, niż gdyby odkryty leżał....

Taki był koniec życia Antoniego Malczeskiego. Wpleciony w to, wszystko kruszące, koło cierpień fizycznych i moralnych, ostatnie siły utracił w rozpaczliwej, nadaremnej walce z upornym i nieprzebłaganym losem.

A przecież to życie—jakże jasny, czysty, powabny, jakże nadziei pełen miało poranek! Niegdyś, na chwilę wprawdzie, zajaśniało było tak czystym blaskiem powodzeń światowych! Młodość, piękność, zdrowie, rozum, fortuna: wszystko to dzwoniło na dobry dzień, jakby wesoły śpiew skowronka, a potem złamane i zwiędłe przed czasem—oto zagasło, aby znowu jaśniejszym, wspanialszym, ale, niestety! pośmiertnym już zaświecić blaskiem na wieki.

Z tej śmiertelnej, samotnej, opuszczonej pościeli miał on powstać—i powstał w całej swojej chwale. Rzecz dziwna, współcześnie ze śmiercią Malczeskiego, wśród drzemiących lasów litewskich, drugi brat po wieszczej lutni, jakby przeczuciem, jakby dla niego, pisał następne słowa:

Nikt nie pójdzie za trumną do wieczności domu,
Zapłakać niéma komu!...

Odwróćmy na chwilę oczy od tak posępnego, bolesnego widoku, zwróćmy się wstecz i przypomnijmy sobie i drugim jak się to życie zaczęło? jak się ten bujny, piękny kwiat polskiej naszej niwy rozwinął, zajaśniał i zniknął, jakby meteor jaki, zostawiając za sobą szeroką, jak całe ojczyste niebo, mleczną drogę jasności i światła.

I.

Antoni Malczeski urodził się w Warszawie d. 3 Czerwca 1793 r. *).

*) Z listów własnoręcznych wiemy, że się podpisywał „Malczeski“, a nie „Malczewski.“

*) P. Cezary Biernacki w *Dzienniku Warszawskim* Nr. 133 z roku 1854, ogłosił z urzędowego źródła (z Formularza wojskowego Malczeskiego) następne szczegóły: Antoni syn Józefa, urodzony w Warszawie d. 3 Czerwca 1793 r., był twarzy okrągłej, oczu niebieskich, nosa małego, włosów ciemnych, czoła nizkiego. Wszedł w służbę na podporucznika dnia 1 Września 1811 r. do korpusu inżenierów; dnia 1 Maja 1812 r. awansował na porucznika do artylleryi konnej. D. 1 Lipca t. r. przeniesiony na adjutanta polowego do sztabu generała Xawerego Kosseckiego. Dnia 29 Maja 1815 r. odkomenderowany do sztabu kwatermistrzowstwa generalnego. Odbył kompanię w roku 1813 w Polsce, a znajdując się w oblężeniu twierdzy Modlina wskutek kapitulacyi dostał się do niewoli. Nakoniec dnia 28 Grudnia 1815 r. na własne żądanie otrzymał dymissyę z wojska.

Ojciec jego był generałem w b. wojsku polskiem. Ożeniony z Konstancyą Błeszczyńską, posiadał znaczny majątek na Wołyniu: Radziwiłłów, Kniahynin, Miropol i Chodcza, były jego własnością. Jak później tak piękny majątek został strwonionym? niewiadomo—ale to pewna, że ani Antoni Malczeski, doszedłszy do pełnoletności, ani starszy brat jego tych dóbr nie posiadali, i tylko mały jakiś spadek pieniężny po rodzicach swych wzięli.

Rodzice, wyprzedawszy się z dóbr ziemskich, osiedli w Dubnie, na Wołyniu; gdzie możny właściciel, książę Lubomirski, żył wystawnie i około siebie gromadził sąsiednie obywatelstwo. Szkoła początkowa Dubieńska była przytem poważniejszym celem pobytu w mieście dla tych, co o wychowanie dzieci się troszczyli.

W Dubnie więc otrzymał Malczeski pierwsze wychowanie domowe i pierwsze szkolne nauki. Pierwsze i drugie nie różniły się wcale od tych, jakie odbierały wszystkie dzieci polskie z owego czasu. W domu, bo rodzice byli możni, był zapewne guwerner albo guwernantka francuzka; w szkole, jeżeli programat naukowy nie był zbyt obszernym— a w swym wykładzie, zbyt ścisłym, lub wymagającym niezmiernej pilności, miał przecież jedną, z niczem nieporównaną zaletę, że cały był oparty na języku ojczystym —na języku polskim.

Malczeski nie mógł ztąd wynieść większego zasobu nauki niż rówieśnicy jego; ale, ucząc się w szkole po polsku a w domu po francuzku, podnosił zarówno, jeżeli nie więcej, swoje nauki i swoją wiedzę, tak w polskim jak i obcym języku.

Pierwsze domowe wychowanie i pierwsze szkolne nauki, są to, jakby pierwsza i przedwstępna uprawa tej roli, o której przyszłych plonach, nic jeszcze ztąd pewnego wywróżyć nie można. Później dopiero, i w wyżej posuniętej nauce, można poznać pewniej trochę: jaki kierunek przyjmą zdolności młodego chłopca — mówię: pewniej trochę, bo i tu niéma jeszcze nic absolutnego. Dopiero po opuszczeniu szkolnych ławek, im dalej zachodzi się w życie, tem większy, a często przeważny wpływ wywierają, domowe, dawne przykłady i wychowanie, na całą przyszłość młodzieńca.

Tu dopiero, pokazuje się widocznie, wielka, nie zmierna różnica, pomiędzy wychowaniem i edukacyą, pomiędzy moralnością i wiedzą. I nierzadko się zdarza, że najzdolniejszy uczeń na szkolnych ławkach schodzi na ostatnie, wierutne ladaco, przez brak wychowania — a skromny znowu i cichy student staje się ozdobą społeczeństwa i ojczyzny.

Wszakże i tu, jak we wszystkiem, co jest na tej ziemi, niéma nic, powiadam, absolutnego; a jeżeli zatrzymałem was dłuższą chwilę na tym punkcie, to jedynie dlatego, że w życiu Malczeskiego właśnie, znajdziemy głębokie ślady tego dwoistego wpływu: wychowania domowego i edukacyi szkolnej.

Z Dubna, zapewne po ukończeniu nauk w szkole początkowej, odesłano młodziutkiego Malczeskiego do liceum w Krzemieńcu. Wyższa ta szkoła, założona i rozwinięta staraniem niezmordowanego w tym względzie, Starosty Nowogrodzkiego, Tadeusza Czackiego, zalecała się już wówczas, tym świetnem wykształceniem, które do 1831 r., to jest do końca jej istnienia, zapewniało jej uczniom pewien rodzaj, jakby wyższości, pomiędzy uczącą się młodzieżą rozmaitych szkół w Polsce. Było to coś, nakształt tej wziętości, której używa, naprzykład, Szkoła Politechniczna w Paryżu.

Niektórzy życiopisarze Malczeskiego podają, jakoby z wielkiem powodzeniem, słuchał nauk matematycznych w Krzemieńcu i bardzo się odznaczył pomiędzy uczniami Józefa Czecha. Nic w tem nie byłoby dziwnego, że młody i zdolny chłopak szybkie czynił postępy, nawet w naukach ścisłych; ale następne wypadki jego życia, jego zajęcia i dążności, nie dają żadnego powodu, abyśmy przywiązywali jakąś szczególną wagę do tych matematycznych wykładów Czecha, albo do owych przeważnych wpływów Czackiego na usposobienia i przyszłość Malczeskiego.

Wnosić z tego, że Czacki miał zażyłość z jego rodzicami, że bywał często w ich domu, że lubił młodego studenta ukochanej swej szkoły — wnosić ztąd, mówię, iż to miało wywrzeć jakiś ważny wpływ na jego przyszłość, jest to przywiązywać do tego więcej wagi, niżeli warto w rzeczy samej. Jedno tylko należy tu zatrzymać z tego wszystkiego: Malczeski ukończył nauki w Liceum Krzemienieckiem z prawdziwie świetnem powodzeniem, nagrodzony złotym medalem, opuścił szkołę, zostawiając najpochlebniejsze wspomnienie o sobie wśród swoich współuczniów i przyjaciół młodości.

Co zaś do tych stosunków młodziutkiego ucznia ze starymi professorami i ze starym uczonym przyjacielem rodziców, są to tak przelotne, tak wątłe wrażenia młodości, jak owa pierwsza jego miłość dla stryjecznej siostry, Anny Malczeskiej, z której również zanadto ważne, jak mi się zdaje, usiłowano wyprowadzić następstwa.

Ażeby lepiej zrozumieć wejście Malczeskiego w swiat po ukończeniu nauk w liceum i jego niezwłoczne wstąpienie do wojska, musimy tu przytoczyć pewne szczegóły, które zasługują na tem większą uwagę, iż winniśmy je pamięci naocznego świadka owych czasów *).

Powiedzmy tu zaraz, że w szczupłym bardzo zapasie wiadomości o szczegółach życia naszego poety najważniejszym i najbardziej ciekawym materyałem jest list generała hrabiego Józefa Załuskiego, ogłoszony poraz pierwszy w 1855 roku przez p. Kaź. Józ. Turowskiego [1]).

*) Ob. Przedmowę p Turowskiego do *Maryi*.— Sanok 1856, in 8-o.

[1]) *List Józefa hr. Załuskiego do Kazimierza Józefa Turowskiego.*

W roku 1807 zostawszy dnia 8 Czerwca mianowany porucznikiem w pułku lekkokonnym polskim, pojechałem po pokoju tylżyckim na Wołyń dla pożegnania matki. Wtenczas poznałem w Młynowie u Alexandra Chodkiewicza, jeszcze wówczas cywilnego, młodego Błędowskiego, który umarł w r. 1831 na cholerę pod Krakowem, będąc generałem. Tam w Młynowie Błędowski, zachwycony mundurem moim, powziął myśl udania się do wojska. Gdy zaś w r. 1812 przyjechałem z Paryża do Warszawy z urlopem, przedstawił mi Błędowski w Warszawie przyjaciela swego Malczeskiego, naówczas młodego oficera w wojsku Ks. Warszawskiego. Błędowski i Malczeski tak byli zaprzyjaźnieni, iż sypiali w jednym pokoju, rozmawiając z sobą obaj w łóżkach koło dwóch ścian w pokoju naprzeciw siebie ustawionych. Z błahej przyczyny wszczęli między sobą sprzeczkę, która do tego stopnia wzrosła, pomimo przyjaźni, nawet wzajemnej prawie miłości, że się wyzwali na pojedynek, czyli raczej, że Malczeski wyzwał Błędowskiego, który, jako starszy wiekiem, nie chciał narażać młodego przyjaciela na niebezpieczeństwo, lecz ulegając jego natarczywości i obrażany coraz bardziej na honorze, przyjął wyzwanie. Tu nie wiem czy jest prawdą, co wówczas mówiono, że obaj, wyskoczywszy z łóżek, porwali za pistolety i strzelali się natychmiast tak, jak byli, nieubrani, bez świadków? czy, że pojedynek odbył się tak, jak go czytałem opisany w jednym z wydań *Maryi*? Okoliczności te zasługują na sprawdzenie,— możeby p. Alexander Fredro najlepiej o nich wiedział? Zawsze dowodzą one krewkości Malczeskiego i wygórowanego punktu honoru obu przyjaciół, którzy to uczucie posunęli aż do śmieszności, a, według zdań dojrzalszych wojskowych, do dzieciństwa.

Po ukończonych wojnach i upadku Napoleona, wróciwszy do Warszawy, zastałem tam Błędowskiego i Malczeskiego, który-to ostatni trochę kulał na nogę, i sądzę, że nie złamał jej szwankując z konia, jak piszą, ale, że kulał z przyczyny owego pojedynku, o czem im może nie wypadało wspominać.

W roku 1815, gdy siostra moja, zamężna Fryderykowa Lubomirska przyjechała do Warszawy, obaj rzeczeni koledzy, jako Wołynianie, jej z dawniejszych lat znajomi, uczęszczali do niej, tak, że ich codziennie widywałem, bo stałem w jednym domu z moją siostrą. Wkrótce zawiązały się stosunki bliższe Malczeskiego z moją siostrą. Ona wyjechała do Szwajcaryi, Malczeski pojechał za nią i wtenczas-to zwiedził jezioro Genewskie i Montblanc. Gdyby moja siostra rozwiedzioną była, możeby była poszła za Malczeskiego, który sobie tego życzył. Jakkolwiekbądź, gdy się ten związek rozszedł, stetryczał Malczeski, a to tembardziej, że nie miał już z czego się utrzymać. Czy kiedy wrócił pierwej na Wołyń, nim przybył do Warszawy? nie pamiętam; to tylko wiem, że widziałem go w Warszawie, nim wydał *Maryę*—zmienionego, dziwnie zestarzałego, stetryczałego; z owego *Adonisa*, przypominającego z rysów twarzy młodego Stanisława Augusta, zobaczyłem, z wielkiem mojem zadziwieniem, człowieka, wyglądającego na pastora luterskiego, w jakimś żałobnym półduchownym stroju, lecz nie katolickich księży—był całkiem zajęty magnetyzmem. Niewiele się Malczeski do mnie zbliżył, bądź, że w nim widok mój rozbudzał żal, bądź, że ja nie przebywałem wówczas w Warszawie, tylko chwilowo. Atoli czytałem *Maryę*, jeden z pierwszych. Wrażenie, jakie na mnie wówczas sprawiło wydanie *Maryi*, było boleśne, ponieważ upatrywałem w niej płód pięknego talentu, lecz wydany zawcześnie, niepoprawny, niewyrobiony, i takie jest moje zdanie i teraz; upatrywałem, że Malczeski wydał to poema dla zarobienia sobie czego na życie, umarł albowiem, jeżeli umarł, z nędzy. Był to młody człowiek zbyt uniesionej ambicyi; gdyby się był udał do dawnych kolegów, nie krył przed nimi, byliby go wyratowali z nędzy, lecz on wolał uciec się do swego talentu niż prosić. Wydanie poematu kosztowało go, a nie przyniosło tyle sławy wówczas, ile żądał, a pieniędzy nic. Oddał się rozpaczy i podobno sam sobie życie odebrał. Mocno go żałowałem, bo to był młodzieniec pełen uczuć wzniosłych i najpiękniejszych nadziei i, jeżeli grzeszył, grzeszył zbytkiem tych uczuć, które są, niestety, aż nadto rzadkie.

Hr. Załuski.

Znajdujemy w tym liście ciekawe bardzo a nawet zupełnie nieznane i jedyne szczegóły tyczące się Antoniego Malczeskiego i jego przyjaciela Błędowskiego. I tak dowiadujemy się z tego źródła, najpierw: że w 1807 roku Załuski mianowany porucznikiem w pułku, jak u nas mówiono, Szwoleżerów, to jest *des Chevaux-légers* gwardyi Napoleona I, przyjechawszy na Wołyń do matki, za urlopem, po zawartym pokoju w Tylży, spotkał w Młynowie u Chodkiewiczów młodego Błędowskiego, który, jak powiada generał Załuski: „Zachwycony moim mundurem, powziął myśl udania się do wojska.“

Jeżeli przypomnimy sobie owe czasy, duch wojenny, co ożywiał nietylko młodzież naszą, ale starszych ludzi, — zrozumiemy łatwo całą szczerość i prawdę tych słów Załuskiego i nie będziemy się już dziwili temu, co dodaje następnie: „Gdy zaś w 1812 roku przyjechałem z Paryża do Warszawy za urlopem, przedstawił mi Błędowski w Warszawie przyjaciela swego Malczeskiego, naówczas młodego oficera w wojsku księztwa Warszawskiego“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGAWĘDKA.

Na ulicach zaroiła się znowu młodzież; granatowe mundurki ze świecącemi guzikami, przewijają się raźno w panoramie naszego miasta; twarzyczki rumiane, pulchne, uśmiechnięte, wiejskiem słonkiem ubronzowane, przypominają ci owe błogie czasy, kiedy sam o tej porze, pyzaty i wesoły, wracałeś z uroczych wakacyj do szkół i pracy.... I wydawało ci się po dwumiesięcznej niebytności jakoś głośniej i ruchliwiej na miejskim bruku; nogi, odzwyczajone od kamiennych flizów, plątały się z początku niewprawnie po chodnikach. Każda wystawa sklepowa rozciekawiała cię; musiałeś przeczytać wszystkie doniesienia na rogu ulicy, przejrzeć wszystkie znajome kąty, dowiedzieć się o tem i owem; upajał cię gwar dawno niesłyszany, chciałbyś w pierwszej chwili słuchem i wzrokiem całe miasto pochłonąć,—ukochane to miasto!....

A ta pierwsza noc na studenckiem łóżku, pierwsza noc po wakacyach, po której musiało się znowu zacząć życie obowiązku i szkolnego rygoru!— Później już bezwiednie wchodzi się w dawne tryby i ginie gdzieś urok tych wrażeń, i dopiero znowu po latach, niby ciepły wietrzyk jesiennym wieczorem, przyleci wspomnienie tych chwil i otworzy się do niego dusza, jak kwiat tchnieniem południa owiany.

Wprawdzie nasza dzisiejsza młodzież nie przywiązuje się tak bardzo do szkolnej ławy; życie koleżeńskie straciło jakoś swój wdzięk tradycyonalny; porwały się te serdeczne pasma, jakie między ławką uczniowską a katedrą łączyły dawniej uczniów z professorem; zrobiło się może jaśniej w klassach, ale z pewnością chłodniej; nauka przybrała charakter oficyalny, że tak powiemy; oprócz katalogu pana professora, nic więcej nie zbliża uczni do niego; — bo też wszystko jakoś rozluźniło się w naszem życiu, ulegając prądowi czasu, duchowi wieku.

Jedno przecież przyznać trzeba dzisiejszemu pokoleniu: że odczuwa potrzebę oświaty i garnie się do niej całemi siłami.

Corok gromadzi się zwiększona ilość młodych kandydatów do książki; drzwi szkolne bywają o tej porze formalnie oblęgane; rodzice dopraszają się o najskromniejsze miejsca, choćby na krawędzi, choćby pod tablicą szkolną dla swego dziecka, aby tylko umożebnić mu naukę, bez której, na szczęście, nikt już dzisiaj przyszłości nie pojmuje.

Niedawne temu czasy, kiedy jeszcze Korzeniowski w *Doktorze medycyny* karcił i wyśmiewał zacofanie nasze i wstręt do nauki.

Dzisiaj *Doktor medycyny* stał się anomalią nietylko na scenie, ale, co najważniejsza, w życiu. Oświata, nauka—to nietylko czcze hasła rozbrzmiewające nad wszystkiemi warstwami społeczeństwa, to już zaklęcia poruszające całe massy do życia; da Bóg — powoli staną się one potężnym talizmanem rozproszenia ciemności we wszystkich zakątkach i uleczenia z wiekowej niemocy.

Niestety, pomimo owego szczęśliwego zwrotu ku lepszemu, pozostaje jeszcze wiele braków niezapełnionych, wiele niedostatków niepokrytych. Spragniona rzesza szuka nadarmo źródeł; te, co są, nie mogą wystarczyć dla wszystkich; więc ogromna reszta odchodzi z głową zwieszoną, narzekając na zawistny los, który się im do brzegu docisnąć nie pozwolił.

Brak szkół!... słychać powszechne wołanie, brak sposobności do nauki. Niemówiąc już o prowincyi, która to boleśnie odczuwa, zobaczmy co się dzieje w samej Warszawie. Na *dwadzieścia* miejsc w gimnazyum do klassy pierwszej, zgłasza się *dwustu kilkudziesięciu* kandydatów!

O ciasnocie i zabarykadowaniu wejścia w jedynej naszej szkole realnej, pisaliśmy już swojego czasu. Do szkoły technicznej przy drodze Warszawsko-Wiedeńskiej na *dziesięć* miejsc opróżnionych, staje *sześćdziesięciu kilku* ochotników, którzy poddają się najsurowszemu examinowi, lecz z wyjątkiem dziesięciu z konieczności odpaść muszą, choćby byli samemi geniuszami, bo tak wymaga nieubłagana wola losu.

Takie zapory stoją niemal na każdej drodze dla młodego pokolenia, dążącego do światła.

Czyż niéma na to środka? pytają zrozpaczeni rodzice.

Jest — i bardzo prosty: ustawy nasze pozwalają na zakładanie szkół prywatnych. Zdrowe uwagi w tym względzie podał *Kuryer Codzienny:* niechaj ludzie kompetentni, z rękojmią charakteru i pedagogicznych zdolności, starają się o patenty i przywileje dla zakładów naukowych i podają młodzieży sposobność kształcenia się prywatnie. Nie zaradzi to ze wszystkiem złemu, nie zrównoważy braku szkół rządowych, ale przynajmniej uratuje ten procent młodzieży od zmarnowania się, który dla swej przyszłości niczego więcej nad średnie wykształcenie nie wymaga.

Oddawna utyskiwano u nas na brak zakładów naukowych realnych, co tem dotkliwej uczuwać się daje, że w ogóle kierunek dzisiejszej młodzieży nachyla się bardziej ku praktycznym zawodom. Nie dość na tem: donoszą nam, że instytut Technologiczny w Petersburgu, jedyna wyższa instytucya naukowa, z której nasza młodzież korzystać może, ograniczył bardzo liczbę wakansów na swych kursach, a instytut leśniczy przyjmować będzie studentów jedynie za specyalnem zezwoleniem ministra dóbr państwa.

Przyznać trzeba, że winni jesteśmy sami sobie wiele swoją nieradnością i chorobliwem skąpstwem na cele dobra publicznego, a może tylko braknie nam silnej i dobrej inicyatywy. Przed kilku miesiącami powstały w naszej prassie głosy, nawołujące do założenia drugiej szkoły realnej w Warszawie; potrzeba było na początek małego poświęcenia ze strony obywateli miejskich, — trzeba kapitału dla skupienia nieobliczonych korzyści. Słowa wiatr rozwiał, dzienniki swoje zrobiły i na tem się skończyło; a tymczasem ludzie dobrej woli i energii zakrzątnęli się i uzyskali pozwolenie na założenie drugiej szkoły realnej dla uczniów wyznania mojżeszowego.

Może z czasem ta bezprzykładna apatya w najżywotniejszych kwestyach ustąpi.

Jako pocieszający objaw pewnych ruchliwych dążności na drodze do ułatwienia nauki, zanotować winniśmy otwarcie nowej szkoły technicznej przy drodze Nadwiślańskiej w Lublinie, która już w tym roku pod kierownictwem pana Leona Nowakowskiego, wychowańca Warszawskiego Uniwersytetu, funkcyonować zaczyna.

Wnioskując po naszej miejscowej instytucyi tego rodzaju, zostającej pod, uznania godnym, kierunkiem pana Wojny, szkoła techniczna w Lublinie powinna przynieść niemałe korzyści, nietylko kolei żelaznej Nadwiślańskiej, ale też pośrednio naszemu przemysłowi. Wybór miejsca uważamy również za praktyczny o tyle, iż Lublin podnosi się coraz bardziej, a z otwarciem nowo-projektowanej linii na Jarosław do Lwowa, ożywi się niezawodnie jeszcze bardziej i zdolnych przemysłowców-techników potrzebować będzie.

Szczęść Boże nowej instytucyi! — byle z niej tylko wyszli kiedyś ludzie przynoszący korzyść drodze nadwiślańskiej, a nie odwdzięczyli się jej nowym procesem, jak ów, który w dniu 25 Lipca roku bieżącego rozegrał się przed kratkami okręgowego sądu lubelskiego. Z dziwną oziębłością pisma nasze pominęły tę sprawę, wiążącą się z głośnym zeszłej jesieni faktem: wykolejenia się całego pociągu osobowego, na Brzeżnowskich bagnach, pomiędzy Chełmem i Dorohuskiem.

Proces ów był o tyle ciekawym, że po pierwsze: dowiódł prawdziwości, odpieranego niegdyś wszelkiemi argumentami, zarzutu, iż budowa drogi w tym miejscu była niedbale prowadzoną, a następnie przedstawił rzadki wypadek przewinienia, w którym nie było winnego, gdyż wszyscy przed sąd powołani wyszli obronną ręką i cała odpowiedzialność spadła na relsy, że się wygięły, na podkłady, że nacisku nie wytrzymały i na wysyp, że nie był dostatecznej grubości i zrujnował się pomimo aprobaty kommissyi, co uznała drogę za całkiem odpowiednią i bezpieczną do exploatacyi.

Codo samej katastrofy w nocy 15 Października r. z. stwierdzono tylko, że lekceważenie i brak gorliwości służbowej sprowadził wypadek, przy którym 10 podróżnych poniosło cięższe i lżejsze uszkodzenia na ciele.

„Z pierwotnego śledztwa widocznem było, pisze *Gazeta Lubelska*, że maszyniści już poprzednio uprzedzali o złym stanie drogi; mniej więcej w tem samem miejscu, zawiadowcy odpowiednich stacyj dawali zawiadomienia: mimo to nie uczyniono co wypadało—i katastrofa nastąpiła".

Poruszyliśmy umyślnie tę ciekawą sprawę, zatytułowaną trafnie: „Gdzie winowajca?" gdyż chodziło nam o wyręczenie tej części naszej prassy, która źdźbełka wydłubuje z cudzych oczu, ale tramów całych nie tyka nawet przez wzgląd chyba na... wielkość.

Może też są ludzie, co utrzymują, że wykolejanie się pociągów nie jest znowu tak straszną historyą i ujemnej pozycyi w naszym ekonomiczno-społecznym budżecie nie tworzy, gdy się uwzględni po każdym wypadku potrzebne reperacye drogi, naprawę lokomotyw, wagonów etc. etc. Wywołuje to pewien ruch przemysłowo-fabryczny, szybszy obrót kapitałów, daje sposobność zarobku. Może się jeszcze utworzy szkoła ekonomistów, która dla podniesienia przemysłu krajowego protegować zechce pewne katastrofy niewinne w rodzaju owej na Brzeżnowskich bagnach.

Niezaprzeczenie dla przemysłu naszego dzisiejsza pora mogłaby być wielce przyjazną ze względu na stosunki cłowe: fabryki krajowe powinny się podnieść, produkcya wewnętrzna powiększyć.

Ale do tego potrzeba współdziałania owych potężnych czynników przemysłowych, potrzeba aby nasze pierwszorzędne firmy zwróciły więcej uwagi na wytwory krajowe, aby nie hołdowały ślepo stosunkom z zagranicą i chciały zrozumieć, że powodzenie obowiązuje, że dla kraju, w którym powstały, wzbogaciły się, z którego głównie się utrzymują, należy mieć pewne względy i solidaryzować się z jego interesami, chociażby nawet osobiste sympatye *nach Draussen* pociągały.

A czy się tak dzieje?... Niestety, nie. Nieszukając daleko przykładu, mamy tu w Warszawie jedno z największych przedsiębierstw fabrycznych, które, z dziwnem uprzedzeniem nietylko do wytworów krajowych, ale do sił miejscowych nawet, nie chce uparcie zawiązywać stosunków z tutejszemi firmami i wszystkie, najdrobniejsze niemal, dostawy uskutecznia z Niemiec, z Belgii, albo Francyi. Co więcej, uprzedza się tak do miejscowego żywiołu, iż posady oficyalistów powierza importowanym z nad Sprei i Menu kandydatom.

Niemiecki *Spaarsamkeitssystem* nawet w filantropijne cele wspomnianej instytucyi się wciska.

I tak np. znosi się zwyczaj dawania oficyalistom rocznej gratyfikacyi w kwocie 25% od stałej pensyi, a zaprowadza się modna dzisiaj w Warszawie „Kassa przezorności" pod własnem zawiadywaniem, która po dwudziestu latach nieposzlakowanej służby wypłacać ma jednorazowo całoroczną pensyę biednemu uczestnikowi i tą nadzieją utrzymywać go w czasach głodu i drożyzny. Myślałby kto, że interesa instytucyi poszwankowały i dlatego pod pozorem takiego poświęcenia i dobrodziejstwa za cały rok ubiegły, ofiarowano urzędnikom... prowizoryczną ustawę kassy zamiast spodziewanej gratyfikacyi poraz ostatni. Gdzie tam, firma sama przyznaje się, że w ostatnich czasach produkcya roczna z 3 milionów rs. podniosła się do 4,000,000.

Uderzamy w stół — może się nożyce odezwą!...

W dzisiejszych czasach trudno być prawdziwym filantropem; nowy tego dowód mamy na zmarłym ś. p. hr. Kajetanie Kickim, który cały swój, ogromny majątek ofiarował na cele humanitarne dla ludu zamieszkującego jego włości. Pogłoski o uszczęśliwieniu Towarzystwa Osad Rolnych tym spadkiem okazały się teraz po wydrukowaniu całego testamentu—mylnemi lub niedokładnemi. Hr. Kicki powierzył powyższej instytucyi wykonanie swej ostatniej woli, a dopiero po pokryciu wszystkich kosztów, jakie jego testament zakreśla, po spłaceniu dożywocia żonie i różnych legatów, gdyby (!) jaka nadwyżka powstała, może z niej skorzystać Towarzystwo Osad Rolnych.

O ile cały testament zacnego filantropa tchnie gorącą miłością ludu, o tyle zdradza utopistę, który w swoich życzeniach przekroczył granicę możliwości i obciążył swój zapis tylu warunkami, iż w dzisiejszym stanie rzeczy byłoby niezmiernie trudnem podjąć się obowiązków podyktowanych przez niego.

Hr. Kicki zapomniał widocznie w szlachetnym zapale, że oprócz mieszkańców Ostrowa Murowanego, Rzyczek etc. jest jeszcze inny lud, któremu oświata jest równie do zbawienia potrzebną i że takie uprzywilejowanie jednej części byłoby poniekąd krzywdą dla ogółu; powtóre wytworzył sobie w imaginacyi stosunki i naturę naszego chłopca tak idealne, że gdyby jego przepisy i wskazówki dały się urzeczywistnić dosłownie, życie wiejskie w dobrach testatora zmieniłoby się w uroczą sielankę, gdzie pośród opłotków greckie muzy miałyby świątynię, a małe pastuszki prosiąt i gęsi, zamiast batów na granicznych kopcach, brałyby lekcye praktycznej estetyki. Ta wybujałość poglądów i niepraktyczność w obraniu środków sprawi zapewne, iż ominie nas znowu jedna z rzadkich sposobności—osiągnięcia upragnionego celu, pomimo wszelkich danych. Jeżeli Towarzystwo Osad Rolnych i wybrani przez ś. p. hr. Kajetana exekutorowie nie będą mogli przyjąć testamentu, to będziemy teraz biadali nad trzema zapisami, spętanemi fatalnością: Konarskiego, Staszyca i Kickiego.

Na zakończenie wspomnieć nam wypada o kongresie leśników, który w zeszłym tygodniu ukończył swoje obrady w wielkiej Sali ratuszowej. Kommissyę organizacyjną kongresu składali: *Alexandrowicz Jerzy* professor Uniwer. i dyr. ogrodu botanicznego, prezes *Brzozowski Włodzimierz*, kommissarz leśny gubernii Warszawskiej, czł. sekr. kom. *Dobrowolski Bazyli*, Dyr. Inst. gosp. wiejskiego i leśnictwa w Nowej-Alexandryi, *Krasuski Józef*

i *Lej Mikołaj*, professorowie tegoż Inst. *Starynkiewicz Sokrates*, gen.-major prezydent miasta Warszawy i *Szafranow Mikołaj* prof. Inst. leśnego w Petersburgu.

Od dnia 14 do 23 rozprawy, przeplatane wycieczkami i zwiedzaniem ważniejszych zakładów przemysłowych, szły żwawo; poruszyły wiele żywotnych kwestyj dla naszego leśnictwa, które ma ważne zadanie: uchronienia pozostałych jeszcze zabytków leśnych w Królestwie Polskiem, zmniejszanych bezustannie nierozważnem marnotrawstwem i karygodną spekulacyą. Od r. 1828 do dnia dzisiejszego przestrzeń leśna zmniejszyła się u nas o 698,954 morgów i dzisiaj też zajmuje tylko $^1/_4$ część całego kraju. Na jedną osobę wypada zatem 265 prętów kwadratowych lasu, z czego wypływa, że przy półrocznej u nas zimie bylibyśmy prawie skazani na zamarznięcie, gdyby nas nie grzała... nadzieja lepszej przyszłości i węgle — drożejące z każdym rokiem.

DZIEJE WIECZORNE LASU.

Słońce gaśnie na zachodzie,
Świetne blaski rzuca w wodzie—
Tęczą woda lśni.
Pozłocone szczyty boru;
Z nich wypływa pieśń wieczoru,
W tysiąc głosów brzmi!
Sosna szumem głuchym gada,
Dąb swą przeszłość opowiada,
Liść osiki drży;
Słysząc dziwy, co dąb głosi,
Brzoza listki swe podnosi,
Na nich rosy łzy!
Klon wysoki jęczy, wzdycha
I dla lipy tej usycha,
Co wyrasta tuż!
Grab zazdrośnem okiem śledzi
Młodej lipy odpowiedzi,
Lecz się kryje—tchórz!
Stara grusza wypróchniała,
Słodkiej mowy podsłuchała
Zakochanych drzew,
I rozgłosić wszędzie rada,
Sąsiadowi opowiada....
Słucha głogu krzew
I złośliwie się natrząsa,
I kolcami lipę kąsa,
Jakby słowem złem.
A staruszek, wiąz stuletni,
Obojętny w wieczór letni,
Nakrył głowę mchem.
Jodła smukła i topola,
Na granicy stoją pola,
Nucą tęskny śpiew,
Że w chałastrze boru tego,
Niéma w krasie im równego,
W tłumie dzikich drzew.
Rozkochana leśna róża,
W własnej woni swej się nurza,
Jak w miłosnym śnie;
Pod przyjaznej wierzby cieniem,
Słowik żegna ją swem pieniem
I dobranoc szle;
Niezabudka kryje oczy,
A kalina włosy mroczy,
Wśród strumienia wód,
Kwiaty dają woń duszącą,
Jak modlitwę dziękującą
Za tej wiosny cud.
Tysiąc dźwięków, piosnek, woni,
Po zielonym lesie goni,
Życiem szumi las—
Kiedy słońce gaśnie w wodzie,
Gdy oddycha świat w pogodzie,
Gdy majowy czas!

Wiktor Chamiec.

Dwaj myśliciele francuzcy

Z XVIII WIEKU.

(Dalszy ciąg).

Teraz miał zostać wielkim;—ale umysł jego wiele jeszcze manowców przejść musiał, nim wszedł na drogę pracy i zasługi, rzeczywistemu, wrodzonemu uzdolnieniu odpowiadającej. Z Listami rekomendacyjnemi z Lugdunu przyjechał Rousseau w jesieni 1741 r. do Paryża. Wszedł odrazu w towarzystwo umysłów wyższych, wypromieniających na około siebie światło i kierujących opinią. Poznawszy już w Lugdunie Condillaca i Mablego, poznał następnie w stolicy Francyi Fontenelle'a, Diderota, Dalemberta, Marivaux, Rameau, później Voltaire'a, który nakrótko tylko do Paryża z Szampanii zaglądał, i z którym stosunki osobiste były tak nikłe, że je prawie żadnemi nazwać można. W r. 1742 Réaumur przedstawił Rousseau'a i jego wynalazek pisania nut liczbami Akademii Nauk. Wynalazek, skrytykowany przez słynnego Rameau, uznali za niepraktyczny sprawozdawcy Akademii. Zawiedziony w swych nadziejach, odpowiedział na odrzucenie *Rozprawą nad muzyką nowożytną;* nie rozpaczał—powierzył się Opatrzności, zdał się na swoje próżniactwo. Dupin, generalny dzierżawca podatków, dał mu miejsce przy sobie, z niewielkiem uposażeniem, kilkaset franków zaledwie na rok wynoszącem; posada była tylko upozorowaniem stałego wsparcia, bo Rousseau żadnych obowiązków nie pełnił. Przyjmowano go w domach zamożnych, wystawnie żyjących. W owych czasach kobiety opiekowały się chętnie młodymi ludźmi, mającymi przyszłość przed sobą; kobiety też zaopiekowały się przybłędą. Piękna pani Dupin, pani Buezenval, Polka „dumna ze swego szlachectwa polskiego,“ pani Broglie jej córka—w pierwszych latach pobytu Rousseau'a w Paryżu opiekuńcze skrzydła nad nim roztaczały. Niewiele z tego na przyszłość zyskiwał, ale życie z dnia na dzień biegło mu łatwiej, było mniej twarde i uciążliwe. Sam jeszcze wtedy nie wiedział czem będzie, nie przeczuwał, że kiedyś stanie się nieśmiertelnym jako myśliciel i pisarz. Był ciągle jeszcze tułaczem, włóczęgą, zarówno w świecie umysłowym jak w społeczeństwie. Zapalony ciągle do szachów, zapoznał się z Philidorem; razem z panem Franclieu, synem pana Dupin, studyował chemię. Rzucał się ciągle na wszystkie strony, nieprzestając oddawać się najusilniej muzyce: powabna ta syrena, ustawicznie go do siebie wabiła. Do dwóch dawniej już napisanych oper, które do Paryża ze sobą przywiózł, *Ifis i Anaxareta*, oraz *Odkrycie nowego świata*, dołączyć miał teraz trzecią *Les muses galantes*, ale pracę nad nią przerwał mu wyjazd do Wenecyi: za pośrednictwem pani Broglie, otrzymał niespodziewanie posadę sekretarza p. Montaigu, posła francuzkiego przy Rzeczypospolitej weneckiej. Zapewniono mu 1,000 franków rocznej pensyi.

Sekretaryat sprawował tylko przez półtora roku w latach 1743 i 1744; głupota i skąpstwo ambasadora oraz intrygi zauszników zmusiły go do usunięcia się z urzędu. Pierwszy-to raz może w sporze z ludźmi słuszność miał po swojej stronie, ale świata o niej przekonać nie mógł. Już w Genewie opinia była tak źle uprzedzona, że musiał się wyrzec zamiaru zamieszkania w swem mieście rodzinnem. W Nyon zobaczył się, poraz już ostatni w życiu, z ojcem i na Lugdun do Paryża powrócił. Tu daremnie kołatał do ministeryum spraw zagranicznych, aby je o swej niewinności przekonać: pan Montaigu miał słuszność przez to samo, że był zwierzchnikiem i panem. W towarzystwach krzywo na byłego sekretarza patrzano, pani Buezenval zwłaszcza zimno go przyjęła. Mógł się śmiało za rozbitka w życiu uważać, ale wrodzona lekkość, wrażliwość, uczuciowość uchroniła go od rozpaczliwego zniechęcenia. Żył w biedzie, lecz żył; przytem nie zupełnie go opuściły były dawne protekcye; zyskał nawet nową—w księciu Richelieu, a u Dupinów miał zapewnioną pomoc stałą. Wykończył *Les Muses Galantes* i na próbie zyskał poklask. Powierzono mu nowe opracowanie *Księżniczki Nawarry*, opery, do której libretto napisał był Voltaire, a muzykę Rameau. Zadanie to spełnił, ale nie otrzymał za nie nawet jednego słowa podzięki. Intrygi dworskie przejęły go goryczą: rozchorował się i przez 6 tygodni z domu nie wychodził. Niezmierna drażliwość, na miłości własnej, na wysokiem mniemaniu o posiadanym talencie muzycznym zaszczepiona, była daleko bezpośredniejszą przyczyną tej choroby niż trudy przy poprawianiu owej opery podjęte. Takim był już przez całe życie: nie pragnął pochwał i tryumfów, ale był niezmiernie, jak kobieta tkliwym, na naganę i nieuznanie. Doczekał się nareszcie w końcu r. 1746 próby ostatecznej *Muz*, które miano w wielkiej operze przedstawić. Wysłuchawszy swego dzieła, sam je ze sceny cofnął. Zniechęcił się już teraz, na czas pewien dał pokój operze i komponował tylko pojedyncze pieśni, aryę i utwory zbiorowe, które u Dupinów wykonywano. Jesień 1747 przepędził w ich majętności, w prowincyi Touraine. „Spasłem się jak mnich“ pisze w *Confessions*. Pracował ciągle nad chemią razem z panem de Franclieu; pisywał większe i mniejsze utwory wierszowane, które weszły później do jego *Les consolations des misères de ma vie*. W tece jego nadto znajdowały się w owym czasie dwie już komedye: *Zuchwała kondycya* i *Narcyz*. Ta ostatnia, pochwalona przez Marivaux, po 10 latach starań autora doczekała się nareszcie przedstawienia w r. 1752, w najpierwszym teatrze Francyi: upadła.

Lepsze w tym samym czasie powodzenie miał Rousseau jako kompozytor muzyczny. Najpierw w Fontainebleau, a później w początku roku 1753 w samym już Paryżu przyjęto nadspodziewanie dobrze jego *Wróżka wiejskiego* (Le Devin du village). Sztuka ta obdarzyła go sławą i pieniędzmi; tych ostatnich miał więcej za swoją operetkę niż w kilka lat później za *Emila*, który go 20 lat myślenia i 3 lata pracy pisarskiej kosztował. Nie był już wtedy biednym: miał przynajmniej tyle, ile na życie niewyżebrywane potrzebował. Do wystawienia opery dopomógł mu głównie uczciwy Duclos; przez niego poznał słynną Quinault. Do tego okresu życia Rousseau'a należy wejście jego w progi Holbacha, jednego z głównych przedstawicieli ówczesnej *tężyzny umysłowej* w Paryżu; dwa razy się one zamykały przed nim i dwa razy nanowo otwierały. Rousseau, wogóle niepraktyczny, nie miał najmniejszego daru pożycia z Encyklopedystami; z żadnym z nich przyjaźń nie była trwałą: zrywała się ciągle, i ciągle nadaremnie nawiązywała. Holbacha Rousseau bardziej może jeszcze niż Voltaire'a nienawidził, a wbiwszy sobie w głowę, że jest przez ów świat rozumu i rewolucyi tlejącej w umysłach prześladowanym, wynalazł dlań osobną nazwę „Stronnictwa, kliki lub koleryi Holbachistów“. Serdeczną nienawiść uczuwał do Grimma, poznanego w r. 1749; człowiek ten rzeczywiście zaszedł mu drogę życia z maczugą w ręku. Słaby, niewyrobiony charakter nie miał siły przebijać się przez złość i głupotę, nie umiał usuwać lub omijać przeciwstawiających się mu bardzo naturalnie indywidualizmów ludzkich — i sam sobie tworzył daleko więcej nieszczęść, niż ich od świata doznawał. Miał też starość, po burzach i nieprawych porywach życia, coprawda, cnotliwą,—ale niespokojną, skołataną. Jego Spowiedź własna najlepiej rozstrzyga pomiędzy nim i jego mniemanymi nieprzyjaciołmi: sam on był największym wrogiem swoim przez to, że nie miał charakteru.

Zakres jego znajomości i stosunków coraz bardziej się rozszerzał. Prócz Holbacha poznał w tym okresie życia panie: Denis, siostrzenicę Voltaire'a, de Créqui, d'Épinay, d'Houdetot, de Chenonceaux. Wszystkie, z wyjątkiem pierwszej, były jego przyjaciołkami; nadzwyczaj łatwo lgnąc do kobiet lubiał

się girlandami z nich otaczać. Pani d'Épinay spodziewała się od niego czegoś więcej niż przyjaźni; dla pani d'Houdetot miał, jak mówi, pierwszą i ostatnią miłość w życiu; pani Chenonceaux wreszcie zawróciła mu głowę na przelotną chwilę. Z nowych znajomości tego okresu wymienić jeszcze należy księcia następcę tronu Saxen-Gotha, jego ochmistrza Thuna, Klüpfella, wspomnianego już wyżej Grimma, Gauffecourta.

Mówiąc o nowych znajomościach Rousseau'a w tym okresie czyż można zamilczeć o Teresie Le Vasseur, jego towarzyszce życia, wiernej, cichej, pracowitej, przez niego samego „anielskim charakterem" nazwanej — towarzyszce, która dopiero po dwudziestu kilku latach pożycia żoną się stała? Przedmiot to drażliwy, ale niéma chyba żywota człowieczego, któryby podobnie drażliwych punktów w sobie nie mieścił i życie wielkich ludzi przedewszystkiem promienną wstydliwość do spuszczania wzroku na dół zniewala. Prawda jednak jest od tego, żeby była poznaną; a okrycie gazą stosunku do Teresy Le Vasseur zostawiłoby w życiu Rousseau'a próżnię niewybaczalną. Z tą poczciwą dziewczyną poznał się autor *Emila* około r. 1745 w Paryżu, w hotelu Saint-Quentin, w którym mieszkał; była tu ona służącą. Miała w Paryżu zbiedniałych rodziców i dość liczne rodzeństwo, i na wszystkich pracowała. Pochodziła z prowincyi Maine; ojciec jej był oficyalistą mennicy w Le Mans; utraciwszy posadę, przywlókł się do Paryża. Rousseau polubił odrazu Teresę i obronianiem jej od napaści swawolnych zjednał sobie jej pierwszą przychylność, za którą poszło szczere przywiązanie, utrwalone na całe życie. Teresa była najlepszą, jedyną może w życiu przyjaciółką Rousseau'a; nie odstępowała go nigdy, nigdy mu wiary nie złamała; w chorobie, która od roku 1755 trapiła go już stale, miał z niej poświęconą bez granic siostrę miłosierdzia. Nietylko ją, ale i rodziców wziął do domu swego; z matką, kobietą złą, po kilku latach rozstać się musiał w sposób gwałtowny.—Z Teresą żył w zgodzie aż do śmierci; niezupełnie wiernym był dla niej, ona jednak nigdy praw swoich się nie dopominała. Nie mogła mieć nawet praw macierzyństwa: sofistyka, nieludzkość i tchórzowstwo społeczne złożyły się na to, że Rousseau pięcioro dzieci swoich do domu podrzutków oddał. Poznał on błąd swój, będąc już prawie 60-letnim starcem; ale powoływanie się przedtem na Platona i jego *Rzeczpospolitą* nie czyni zaszczytu rozumowi ludzkiemu, troskliwość o honor Teresy jest nielogicznym wykrętem, a zdanie, że chciałby był tam być tak żywionym i wychowywanym jak były jego dzieci—brzmi piekielną ironią. Dzieci swych Rousseau nie znał wcale—przedsięwzięte poszukiwania pozostały bez skutku; żeniąc się zaś (około r. 1770) z Teresą, nie miał jeszcze odwagi dać jej swego nazwiska i w akcie ślubnym wystąpił jako „Renou".

Pierwsze codo czasu próby piśmiennicze Rousseau'a, sprawom muzyki poświęcone, pomiędzy któremi najważniejszą, była przygotowana do *Encyklopedyi*, na zamówienie Diderota, rzecz o muzyce, nie zasługiwałyby nawet na zaznaczenie, gdyby się z kolejami jego życia ściśle nie łączyły. Jako pisarz muzyczny Rousseau dał się później poznać przez wydanie swego *Dictionnaire de musique;* praca zrobiona dla *Encyklopedyi*, zrobiona, jak się sam autor jej przyznaje, źle, nie ujrzała nigdy druku. *List o muzyce francuzkiej* zaczął już zgromadzać chmury nad głową Rousseau'a: nie podobał się na dworze, ale z chmur burzy nie było. Zamiar wydawania wraz z Diderotem czasopisma *Le Persifleur* pozostał martwą zachcianką. Pierwszą poważną, myślicielską pracą Rousseau'a jest przyjęty do *Encyklopedyi* jego artykułu *O ekonomii politycznej;* ale pierwszy raz na widownię literatury powszechnej wystąpił dotychczasowy kompozytor muzyczny dopiero po ogłoszeniu przez Akad. w Dijon w r. 1749 pytania: *Azali zaprowadzenie nauk i sztuk przyczyniło się do poprawy czy też do zepsucia obyczajów?* Rousseau odpowiedział, że nauki i sztuki psują obyczaje. Rozprawa jego, stylem porywającym napisana, otrzymała nagrodę, ogromną sprawiła wrzawę i autor jej, sam niespodziewając się tego, odrazu został sławnym człowiekiem. W cztery lata później taż sama akademia rozpisała konkurs na temat: *Jaki jest początek nierówności pomiędzy ludźmi i czy ją uprawnia prawo przyrodzone?* Rousseau i teraz postanowił skruszyć kopię. Przy pisaniu pierwszej rozprawy radził się był Diderota; teraz szedł już o własnej zupełnie sile. Rozprawę zaczął w Paryżu, wykończył w Chambéry, dokąd w drodze do Genewy zawitał, i ztamtąd ją do Dijon wysłał. Otrzymała ona, równie jak i pierwsza, uznanie wyższości i zaletami stylu i rozumowania góruje jeszcze nad tamtą. Myśli w obu rozprawach wypowiedziane dają się streścić w tem, że człowiek przez cywilizacyę oddalił się od natury, a przez urządzenie stosunków na zasadzie rozumu i sprawiedliwości napowrót wejść w nią powinien. Ten stan natury Rousseau'a nie jest bynajmniej owym stanem dzikości pierwotnej, wprowadzonym do nauki państwowej przez myślicieli XVII wieku: jest to raczej stan bezwarunkowej prawdy i swobody w stosunkach ludzkich,—prawdy i swobody, z których Rousseau miał rzeczywiste, nieodstępne całego życia swego ideały. Pierwsze zasady rządu, ustroju społecznego, wychowania, religii i moralności, które później w takim blasku w *Contrat social* i *Emilu* wystąpiły, znajdują się już na gorących, jednym jakgdyby tchem pisanych, kartach tych utworów, które przez nowość twierdzeń, przez głęboką oryginalność i wiarę autora w wypowiadane przekonania — były prawdziwemi zjawiskami we współczesnym świecie umysłowym. Mnóstwo rozpraw przeciwnych posypało się na Rousseau'a. Pomiędzy innymi także i król Stanisław wystąpił przeciwko wymownemu obrońcy natury. Zawiązana ztąd polemika zaświadczyła o wielkiej zacności Leszczyńskiego.

W r. 1754 wyjechał Rousseau do Genewy w towarzystwie Gauffecourt'a i Teresy. W podróży przekonał się o nikczemności swego mniemanego przyjaciela i odtrącił go od siebie. W Chambéry odwiedził w nędzy już będącą pani Warens i Teresie hołd szacunku złożyć jej nakazał. Przybywszy do Genewy, ujęty niezmiernie gorącem przyjęciem, zapragnął odzyskać prawo obywatelstwa, utracone w dzieciństwie jeszcze przez ucieczkę i przejście na katolicyzm. Chcąc złe naprawić, musiał teraz złożyć wyznanie wiary kalwińskie; a tylko względność ziomków uchroniła godność jego od poniżających formalności. Zadowolony z powrotu na łono pierwszej ojczyzny—drugą była mu Francya—postanowił do niej na stałe zawitać w roku następnym, a gdy osiedlenie się Voltaire'a „Aux Delices" wewnętrzne zamieszki w Genewie, głównie zaś chęć wygodnego życia w blizkości Paryża—postanowienie to rozwiały, odzyskane obywatelstwo swoje tym przynajmniej sposobem stwierdzał, że się na pismach swoich podpisywał: „Citoyen de Genève".

W końcu roku 1754 był już napowrót w Paryżu. Pani d'Épinay nie pozwoliła mu wyjechać do Szwajcaryi. W posiadłości swej, obok lasu w Montmorency, zbudowała mu domek „Ermitage'm" zwany. Na wiosnę 1756 r. wprowadził się doń Rousseau, wraz z Teresą i jej matką. W Ermitażu, odtrącając wszystkie pokusy, rzeczywiście już jako pisarz i myśliciel pracować zaczął. Marzył o wielkiem dziele: *Instytucye polityczne;* plan jego i kilka działów napisał, a częścią tej, nigdy nie wykonanej, pracy jest sławny *Contrat social.* W Ermitażu, pod wrażeniem cudnej natury, powziął myśl napisania *Nowej Heloizy.* Tu przygotowywać zaczął *Emila.* Tu skreślił pierwsze myśli do zarzuconego później dzieła *La morale sensitive ou le matérialisme du sage.* Tu napisał głośny *List do Voltaire'a o dobrym porządku świata* (z powodu *Klęski Lizbońskiej).* Tu zajął się przejrzeniem *Pism X. de Saint-Pierre;* lecz według powziętego zrazu planu pracy tej nigdy nie wykonał, ogłosił z niej tylko znany *Projekt wiecznego pokoju.* Tu, już nie jako pisarz, ale jako człowiek, stawał się cnotliwym, „a przynajmniej upajać się zaczął cnotą." Tu, pomimo tego upojenia się, „potrzebując mieć ciągle dwie dusze w jednem ciele," rozgorzał wielką, jedyną w życiu, jeśli mu wierzyć możemy, miłością dla pani d'Houdetot, kochanki tego samego Saint-Lamberta, któregośmy już wespół z Voltairem, płaczącego nad grobem pani du Châtelet widzieli. Ta miłość, ostatni już wybuch nadmiernie uczuciowej natury, czystą była od początku i czystą pozostała, a po kilku miesiącach, zamieniwszy się w przyjaźń, nie przyprawiła wcale Rousseau'a o zerwanie stosunków z Saint-Lambertem; ale za to jej przypisuje autor *Confessions* zerwanie przyjaźni z panią d'Épinay, w której zazdrości domyślać się każe. Zerwanie to stanowi jedną z najboleśniejszych chwil w życiu wielkiego myśliciela; jak wszystkie podobne zajścia, tak i ono ujawniło w Rousseau'ie nadzwyczajny brak wyrobionego charakteru.

W Grudniu 1757 roku nie było już Rousseau'a w Ermitażu. Niejaki p. Mathas ofiarował mu poblizkie mieszkanie swoje w Montmorency. Miejscowość tę, Mont-Louis zwaną, zamieszkiwał Jean-Jacques do r. 1759; następnie, zaznajomiwszy się z księztwem de Luxembourg, uproszony został przez nich do zamieszkania we wspaniałym parku Kondeuszów, w umyślnie przygotowanem mieszkaniu; gościnność gospodarstwa zniewalała go nieraz do przebywania i w samym pałacu książęcym. Nowy ten pobyt był wielce przyjemnym i dobrze na usposobienie myśliciela oddziaływał. Rousseau pracował wiele, czytał, kształcił się i pisał, przekładając samotność nad towarzystwo świetne, które go do siebie garnęło. Zdrowie jego w coraz gorszym znajdowało się stanie; w r. 1758 wyczekiwał już śmierci; miał jednak jeszcze żyć lat 20, miał potęgą myśli i słowa zadziwić tych, co na wątłe jego ciało patrzyli. — W Mont-Louis napisał znakomity swój *List do d'Alemberta o widowiskach teatralnych* i wykończył *Nową Heloizę*, którą do Hollandyi dla wydrukowania posłał (1760 r.). W parku Montmorency wypracował *Emila*, do napisania którego wziął pochop z trosk macierzyńskich pani Chenonceaux, oraz *Umowę społeczną;* oba te dzieła wyszły w jednym, 1762, roku. *Nowa Heloiza* otworzyła wrota romantyzmowi w Europie; *Emil* i *Umowa* mimo swego radykalizmu i zbytniego nieraz rozpasania myśli, nie przestały być do dziś dnia dziełami klassycznemi w tych dziedzinach wiedzy i umiejętności ludzkiej, dla których je autor przeznaczył. Podwaliną ich jest czysty rozum i czyste uczucie sprawiedliwości, dobra i prawdy; mają one charakter marzycielski, ale głęboko przemyślane, wypowiadają mnóstwo rozumnych spostrzeżeń, mnóstwo prawdziwych, szacownych, wpływowi czasu nieulegających zasad. Wiedzą o tem dobrze, a przynajmniej wiedzieć powinni, ci wszyscy, którzy pracowali bądź nad pedagogiką, bądź nad naukami państwowemi. Uczeni nieraz tylko myśli Rousseau'a przeżuwają, piorunując na nie *ex cathedra.* W tych sferach, które starały się zakładać hamulec na koła rozpędzonej już na niepowstrzymany bieg umysłowości ludzkiej, nie ukrzyżowano Rousseau'a za *Umowę społeczną*, ale postanowiono go ukrzyżować za *Emila*, a właściwie za mieszczące się w nim (w IV ks.) *Wyznanie Wiary Wikaryusza Sabaudzkiego.* W d. 9 Czerwca 1762 r. parlament paryzki skazał *Emila* na spalenie, a jego autora na pozbawienie wolności. Rousseau, ostrzeżony przez księcia de Luxemburg, uciekł do Szwajcaryi.

(Dokończenie nastąpi)

VANINA ORNANO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

przez

J. K. S.

(Dalszy ciąg).

Scena II.

Ciż sami, wchodzą Sampierro i Hugo, *za nimi gromada zbrojnych górali.*

Wszyscy

Niech żyje wódz nasz, Sampierro! Niech żyje! niech żyje!

Sampierro

Dziękuję wam za tak serdeczne powitanie,—lecz wy może nie wiecie, bracia, że moja władza

nie taką już jest, jak była; po ostatnich porażkach mnóstwo miast otwarło swe bramy Dorii, który mnie skazał na tułactwo, nakładając cenę na głowę moją.

Wszyscy

Wiemy, wiemy, ale nie opuścimy cię, wodzu nasz!

Sampierro

A cóż pomoże ta garstka wiernych przeciw wojsku Dorii? W dolinach wielu staje otwarcie czy skrycie po stronie najeźdźców, i pragnie mojej śmierci, a wy, wierni mi górale, trwacie ciągle przy mnie. Niejedność, niezgoda, waśń bratnia: oto prawdziwy tryumf naszych wrogów. Bracia, jeśli dla szczęścia i jedności w kraju, potrzebną głowa moja,—weźcie ją! Jeżeli śmiercią mą lepiej niż życiem służyć mogę ojczyźnie, niechajże przybywa śmierć. Czyż myślicie, że idzie mi o życie? Patrzcie, odrzucam miecz, odrzucam wierny mój sztylet, oto wbijam w ziemię lancę, odpinam pancerz na piersiach,—i staję sam jeden bezbronny, sam jeden z nagą piersią, pośród was wszystkich zbrojnych! (*Do Giacoma*). Ot ty, masz sztylet błyszczący i ostry za pasem, przyjdź i ugodź w te piersi!

Giacomo (*padając na kolana*)

Przebaczenia! miłosierdzia.... panie.

Sampierro

Przebaczenia? Za co?

Drugi i Trzeci

On nas namawiał do morderstwa....

Giacomo

Łaski..... miłosierdzia..... szatan mnie kusił, błyskał złotem przed duszą mą... miłosierdzia, łaski!....

Różne głosy

Na gałęź z nim! na gałęź!

Giacomo

Nie ja sam winien.... panie.... oni mi dali rękę—wydam ich, jeśli....

Głosy

Na gałęź z nim, czemprędzej....

Sampierro (*do Giacoma*)

Precz od nóg moich, ty podła gadzino, nie kalaj ich fałszywym pocałunkiem! Więc zdrada aż tu mnie ściga, w górach? Myślałem, że tylko tam w dolinach, że tylko miejskich czepia się ulic i bruków.

Czwarty

Panie, racz wydać wyrok: wykonamy go w tej chwili.

Sampierro (*odtrącając nogą Giacoma*)

Niechaj sumienie jego katem mu będzie, i niechaj każde czoło co złe ukrywa myśli, pochyli się przed potęgą mego wzroku. (*Spogląda w koło siebie*). Ho, ho, nie wszyscy widzę spotkacie się z mym wzrokiem śmiało.... oto jeden.... drugi.... trzeci.... a, jest was tu widzę więcej — no, dalej zdrajcy, uderzcie, innej nad oko moje nie mam teraz broni. (*Tłum zdrajców w pomieszaniu cofa się*).

Sampierro (*bierze róg wiszący u pasa i dmie*)

Raz jeszcze zagram na rogu, który tyle razy zwoływał was na boje, i tyle razy zwycięztwo nasze ogłaszał. (*Zaczyna grać na rogu. Z różnych stron schodzą się zbrojni górale*).

Sampierro

Oto głos mego rogu ożywia martwe skały nasze!

Wchodzący

Niech żyje Sampierro!

Hugo (*do górali*)

Witajcie, bracia! O nie wszystko jeszcze stracone, gdy na dźwięk rogu tylu was zaraz staje! Stałości i męztwa! Wenecya, wieczna rywalka Genui, da nam, jeżeli nie ludzi, to złota i broni dość. Od strony Francyi, jak stado białych łabędzi, ujrzymy żagle okrętów, które nam wiozą posiłki. Zanim przybędą, walczmy, choćby tylko garstką.

Sampierro (*do górali*)

Mamże stanąć na czele was i walczyć; czy też poddać się? Genua daje wam pokój i.... i kajdany. Genua przychodzi do was i mówi: „Ziemia, którą wam Bóg dał, ziemia gdzie pochowane kości ojców waszych, ziemia ta, użyźniona ich potem i krwią, ziemia, której każda grudka była wam droższą relikwią nad krew świętych, odtąd już nie jest waszą, lecz moją! Dzieci wasze, i te, co igrają u kolan waszych, i te, co ssą piersi matek, nie są, nie będą już wolnymi ludźmi, lecz niewolnikami i sługami sług moich! Owoców pracy swojej nie będziecie już pożywali sami, ale sami głodni zamienicie je na złoto, i oddacie je mnie, abym się mogła w nowe przystroić pałace. W bezbronne swoje ramiona ujmiecie topory, kilofy, młoty, i z odłamów granitu powystawiacie mi fortece i więzienia, których mi na was właśnie tak potrzeba. Czołaswoje w proch do stóp moich poschylacie, aby uwielbiać potęgę pysznej Genui. A jeśli kiedy w głowie którego z was, szalona myśl zabłyśnie, głowę tę szaloną ja wyjmę z pod prawa, jako głowę Sampierra.“ Tak mówi Genua: bracia — czy mam być jeszcze wodzem waszym!?

Wszyscy

O, tak, tak! Prowadź nas! prowadź!

Sampierro

Dobrze. Teraz rozejdźcie się do domów—zbierajcie się i przygotowujcie. Niech każdy z was idzie w inną stronę gór, niech zadmie w wojenny róg, i zwołuje wszystkich do broni! Miejsce zebrania pod murami Corte... jutro, o wschodzie słońca, uderzymy na obóz nieprzyjacielski.

Hugo

Tych, których niepewni jesteście, wziąć pod straż. A kto tam tak szybko, w czwał, pędzi na koniu?

Posłaniec (*wchodzi*)

Schwytano kilku ludzi z pismami od Dorii. Tajemny Sąd Dziesięciu, wzywa cię, panie.

Sampierro

Trzebaż mi zawsze patrzeć w ohydne oblicze zdrady!.... (*Do górali*). Rozejdźcie się do domu i stańcie na oznaczonem miejscu o wschodzie słońca jutro. Ja, w towarzystwie moich sześciu przybocznych, wracam do Corte.

AKT IV.

(*Scena przedstawia salę sądową — stół nakryty czarnem suknem, na stole stoi krucyfix — w około niego siedzi dziesięciu sędziów, pomiędzy nimi Hugo, Paolo i Sampierro. — Główne drzwi w głębi, inne mniejsze na lewo—na prawo okna*).

Scena I.

Sampierro

Na osądzonych wczoraj kara czy już wykonana?

Pierwszy z sędziów

Już. Zginęli śmiercią zdrajców.

Drugi sędzia

Zginęli pojednani z Bogiem: nie znieważajmy ich.

Sampierro

I przykład tak surowy nie odstraszył innych? Myślałem, że nie będzie trzeba więcej podobnych kar.

Hugo

Carlo Doria wabi ku sobie ponętą zwycięztwa, złota i obietnicą łaski; przeciw tej ponęcie do zdrady postawiliśmy szafot i sąd nasz nieubłagany.

Sampierro

Czy tylko ta sprawiedliwość nasza nie stanie się tyranią?

Pierwszy sędzia

Podobnej sprawiedliwości i lecącej za nią trwodze, winna Wenecya swoje istnienie i siłę.

Sampierro

Krew na polu bitwy przelana, użyźnia ziemię i zbawia rodziny, bo rodzi sławę i miłość. Sławą odziedziczoną po ojcach jaśnieją całe rody bohaterów, a miłości swej dowodzą nowemi poświęceniami; lecz tam, gdzie padnie krew, co z katowskiego miecza spłynęła, wyrasta jedynie podłości trucizna i trupią zgniliznę szerzy. Sędziowie, złagodźmy sądy nasze!

Hugo

Nie można.

Pierwszy sędzia

Nie można.

Paolo

Jeszcze nie czas.

Sampierro

Ha,—jeśli ten krwawy sąd jeszcze do ratunku ojczyzny koniecznie potrzebny—niech będzie! Sądźmy w imię Boże!

Pierwszy sędzia

Według słów przysięgi.

Hugo

A słowa to straszne, wielkie, święte! (*Wszyscy powstają, Hugo z zapałem przykłada rękę do krzyża i w dalszym ciągu mówi:*)

„Przysięgam, że dla dobra kraju sądzić będę zdrajców ojczyzny, bez względu na osobę—choćby to był mój ojciec, matka, brat lub syn jedyny. Tak mi dopomóż, Panie Boże, i wszyscy święci.“

Wszyscy

Amen, Amen.

Pierwszy sędzia

Okropna to chwila, gdy każdy z nas może, jak drugi Brutus, skazać własnego syna.

Hugo

Czy myślisz, że i twój sprzyja tajemnie Genui?

Pierwszy sędzia

Nic nie myślę..... Hugonie, niedość, że jestem sędzią,—mam-że być jeszcze szpiegiem i oskarżycielem?

Sampierro

Więc któż jest obwiniony?

Pierwszy sędzia

Trzy osoby, opatrzone listami wolnego przejścia i pieczęcią z podpisem Dorii.

Sampierro

Gdzie schwytano?

Pierwszy sędzia

Już z tamtej strony gór, niedaleko obozu.

Sampierro

Wprowadzić. A gdzie papiery?

Pierwszy sędzia

Oto leżą na stole. (*Wstaje i dzwoni*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

POŁĄCZENI NA ZAWSZE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Elizę Polko

przełożyła

Ewelina Kłoskowska.

(Dalszy ciąg).

Pomimo to, tego samego wieczora, kiedy Wacław o niezwykłej porze kazał jej oznajmić swą wizytę, dręczyła ją bardzo niepewność jedna, a gdy lokaj oznajmił jej ukochanego, zdało jej się to jego pojawienie wyraźnym rozkazem nieba, aby mu powierzyć rozstrzygnięcie. Z wymuszonym spokojem wyszła do niego.

Oboje byli wzruszeni jak nigdy, zwykłej układności niepodobna im było zachować, bo krew biła na lica, głos im drżał. Wacław uczuł poraz pierwszy w życiu, że się nogi pod nim zachwiały; niepewność, jakiej przedtem nie doświadczał nigdy, opanowała go, ale walczył rycersko ze sobą, jak zawsze przeciw żarowi namiętności, która na widok Jadwigi, falowała w nim pobudzona tą myślą: —I ty ją chcesz jak tchórz porzucić?

Jak płomień wiatrem miotany przeskakiwała rozmowa czas jakiś z przedmiotu na przedmiot. Wszystko go zachwycało i gnębiło zarazem: jej spojrzenie, jej niezwykła łagodność i miękkość ułożenia, jej uśmiech. Miłość ujawniała się z olbrzymią siłą. Poraz pierwszy od tak dawna ukochana była z nim sam na sam, słodko łudzące wspomnienie dawniejszego stosunku opanowywało go coraz silniej. Któżby mu wzbronił przycisnąć ją teraz do serca i zapytać:—Czy chcesz zostać przy mnie teraz i na zawsze?!

Drżąc cały, powstał z miejsca.—Zaśpiewaj pani raz tylko mnie samemu — prosił — zaśpiewaj, zanim inni przyjdą. Jadwiga podniosła się w milczeniu; szła obok niego przez salę do fortepianu, przy którym świece gorzały.

W przejściu wyjęła bukiecik fiołków z alabastrowego wazonu, aby go przypiąć do boku.—Czy wie pan dla czego właściwie mój mąż dzisiaj był proszonym do księcia na obiad?—pytała, niepatrząc na niego.

— Bezwątpienia, aby ucztować jak Lukullus— odpowiedział.

— Tym razem nietylko dlatego. Chcą ułożyć plan podróży. Książe właśnie nas zaprosił, abyśmy go odwiedzili w jego pałacu letnim w Nicei, i mąż mój przyjął to zaproszenie, a z Nicei mamy wspólnie odbyć podróż do Rzymu. To wszystko zostało już postanowionem i w następującym tygodniu mamy wyjechać. Nasz stary doktor także do spisku należy: utrzymuje, że łagodniejszy klimat jest mi potrzebnym; a że mój mąż już oddawna życzył sobie poznać włosko-francuzkie towarzystwo Nicei, to też moje zdrowie wcale nie *mal à propos* upadać zaczyna.

Wymawiając te słowa z niezwykłą szybkością usiadła Jadwiga do fortepianu, a że Wacław nic nie odpowiadał, popatrzyła się na niego. Stał obok niej blady, ze zmarszczonem czołem i zaciętemi usty.—W nadchodzącym tygodniu? powtórzył w końcu pomału.

— I to mi pani dopiero teraz mówisz?

— Pierwszą myśl powzięliśmy jeszcze minionej zimy—odpowiedziała Jadwiga, odwracając się i lekko przebiegając ręką po klawiszach.—Ale to, teraz tak szybkie, wykonanie dawnego projektu niemniej mnie zdziwiło, jak pana.

On patrzał jak we śnie na jej zgrabną rączkę, grającą podczas, gdy dalej zcicha mówiła. — Jak tylko zapamiętać mogę, tęsknię za południowem niebem, a gdy długie lata żywi się jakie życzenie w sercu, to w końcu spełnienie go niepodobnem się wydaje. Dziś jeszcze nawet temu nie wierzę, lecz mówię:—Nadziejo, zawsześ mi miła, choć tak częstoś zawodziła!

Wacław stanął za jej krzesłem i oparł rękę na poręczy, zdało mu się, że musi się czegoś uchwycić i trzymać całą siłą, aby nie upadł.

— Nie wiem prawdziwie czego mam więcej winszować: podróży czy towarzystwa?—odparł po niejakiej przerwie szorstko i zimno.—Rzecz cała jest jak widać tak przyjemną, że o czemś przyjemniejszem anibyś pani już marzyć mogła!

— Marzyć już dawno zaprzestałam. Podówczas gdyśmy razem wycieczkę do Rzymu układali, marzyłam. Ale pan już sobie nie przypominasz naszych o tem planów? Głos Jadwigi był spokojny, ale ręce opadły jej z klawiszów.

— Nic nie zapomniałem!

— I nic pan nie przebaczyłeś?

— Wszystko przebaczyłem! a na dowód, że nic nie zapomniałem, stoję tu dzisiaj, aby pani powiedzieć że — nadal tak blizko siebie żyć nie możemy!

Upokarzam się przed panią, jak przed żadną kobietą, składając zeznanie, że są rzeczy, które mają więcej siły nad wolę mężczyzny! Żadna inna istota na świecie nie usłyszałaby odemnie tego zeznania, niech pani to służy za dowod, że.... nigdy nie zapomnę!

— Jadwigo!—zawołał namiętnie, ujrzawszy, że biedna kobieta pochyla głowę — musi przyjść nakoniec do słów jasnych pomiędzy nami, do słów, któreby uczyniły pożegnanie łatwiejszem, któreby odjęły mu rozpacz. Rozdział na zawsze podług moich pojęć jest dla nas nieodzowną koniecznością. Próbowaliśmy oboje łudzić się, wmawialiśmy w siebie codziennie, że możemy tak żyć blizko siebie bez niebezpieczeństwa. Ja po męzku ufałem w moją stałą wolę a ty! jako kobieta, wierzyłaś w cud. Lecz nie dzieją się już teraz cuda... Biedne dziecko! poznałem, że są uczucia, które nas bez ratunku ciągną w przepaść, których się nie przezwycięży nigdy i dlatego też ty i ja nie obok siebie, ale tylko ręka w rękę ze sobą postępować możemy i powinniśmy sobie być wszystkiem—lub niczem!

Z poznaniem tego przyszło postanowienie. Coraz już się stało, tego zmienić nie można; stoimy bezsilnie wobec przeszłości. Co to pomoże raz jeszcze rozżalać się nad utratą wzajemną?! Wiedzieć powinniśmy, że straceni jesteśmy dla siebie na zawsze, bezpowrotnie! Dotąd nie zapytałem cię: czy jesteś szczęśliwą? Przecież widziałem, że byłaś samotną i wiedziałem, że samotność serca była dla ciebie powolną śmiercią.

Widziałem także, jak twoja mała rączka szukała w około siebie przyjacielskiej dłoni, jak twe oczy szukały wejrzenia, któreby cię zrozumieć mogło. Kobiety z podobnem usposobieniem stają się bardzo łatwo ofiarą niesumiennego mężczyzny. Czułem to, że moja przytomność nagle tej niepewnej a bolesnej dotąd tęsknocie nadała inny kierunek, że wspomnienia podbiły cię pod moc swoją, i byłem o tyle srogim i dzikim, że cieszyłem się tem zadosyćuczynieniem. Ale niezawsze byłem tak okrutnym, przyszła chwila w której sądziłem, że moja przytomność może być dla ciebie obroną, i myślałem nawet, że mnie Opatrzność w tym zamiarze po raz drugi na drodze życia twego postawiła. Więc nie uciekałem....

— Aby dojść do przekonania, że nasze rozłączenie jest niezbędną koniecznością! — przerwała mu nagle Jadwiga, spojrzawszy oczyma tonącemi w łzach.—Dosyć Wacławie, przestań!.... Widzę że tak srogo może tylko postępować mężczyzna.... I kochać tak jak ty, może także tylko mężczyzna! Widzieć kobietę kochającą, którą już śmierć sobie chwyta, wiedzieć, że bez nas umrze i... i opuszczać ją. Dlaczego? Bo jej nieszczęście nie jest nieszczęściem w oczach świata, bo ona niéma prawa uskarżać się na swój los, gdyż nię jest ani zdradzaną, ani poniewieraną przez męża, — została tylko jak kwiat przeniesioną w strefę, w której istnieć nie może, choć wiele innych kobiet mogłoby wegetować w niej doskonale. Ona zginąć musi, gdyż trochę więcej światła i ciepła potrzebuje do życia koniecznie. Cóż to przecież za dziecinna przyczyna do zerwania węzłów małżeńskich, które żelaznem prawem tak dwie istoty skuwają ze sobą, że je tylko śmierć jedna uwolnić może!

Nie przerywaj mi, dozwól zrzucić z serca ciężar, który od tak dawna noszę, dozwól mi teraz wszystko wypowiedzieć, cokolwiek tam się nagromadziło od czasu, gdy cię znowu spotkałam: przecież to chwila naszego pożegnania! gdyż teraz, kiedy tak przemówiłeś do mnie, będę z większą jeszcze niż ty energią wołać:—Rozłączmy się!

I ja też, gdym cię znowu zobaczyła, wierzyłam w zrządzenie nieba, w sprawę mego anioła opiekuńczego, który mi szeptał: — Oto jest ręka, którą masz ująć, oto jest serce, które ma cię ogrzać, oto są oczy, które dla ciebie będą promieniem słońca. Dzwony świąteczne uderzyły znowu. Ty-to byłeś, którego z wyciągniętą wśród ciemności ręką w około siebie szukałam, teraz to czuję. Ujrzawszy cię, obudziłam się jak ze snu. Przestraszyłam się hołdami księcia. Ah, Wacławie, ty nie znasz męki i cierpień długich dni i nocy przy boku człowieka, który nie umiał duszą naszą zawładnąć, który nie nauczył serca naszego, aby go kochało, który nie wprowadził nas do swego domu, jako myślącą i czującą towarzyszkę, ale jako łup zdobyty, jak świecidełko. Taki człowiek, jeżeli nas utraci, nie będzie też i żałował naszej istoty, ale tylko zewnętrznej naszej osoby.

O Wacławie, Wacławie!.... my kobiety pragniemy tak gorąco czegoś, cobyśmy kochać mogły, jak i tego, aby nas kochano! Kochamy matkę, siostrę albo przyjaciółkę, nareszcie dziecko, jeżeli mąż właściwie miłości nie potrzebuje; ale musi być ktoś, któryby nam pozwalał oddać się sobie duszą całą. A przy mnie nie było nikogo.... I obaczyłam ciebie znowu! Ah! poczęłam znowu marzyć i mieć nadzieję. Do czego przecież doprowadziło mnie to wszystko? Aby teraz razem z tobą powiedzieć:— Rozdzielamy się na zawsze!

Wacław rzucił się na krzesło i twarz zakrył rękoma. Jadwiga usłyszała ciężki jęk; widziała, jak cała jego postać drżała: była to rozpaczna walka serca z uczuciem powinności. Gdy podniósł głowę pomału i z trudnością, zdawał się o kilka lat starszym. — Jadwigo! — rzekł słabym i złamanym głosem,— nie mogę znieść wyrzutu, jaki mi robisz; cóż chcesz, abym dla ciebie uczynił? Czy wierzysz w szczęście dla nas przy takich, jak obecne, okolicznościach? Wierzysz, że potrafimy zapomnieć, jakiemu gwałtownemu środkowi zawdzięczamy połączenie nasze? Czy chcesz tego dowodu miłości, czy uważasz go za jedyny, ten nieprawny akt twojego uwolnienia? Powiedz tylko słowo, a przekonam cię, że kochaną jesteś — nie podług mego, ale podług twego uczucia miłości....

— Przestań!—przerwała Jadwiga z błyszczącemi oczyma, i położyła mu rękę na ramieniu w poruszeniu namiętnem. O wiem, wiem, że ty nie mógłbyś być szczęśliwym obok mnie ze wspomnieniami przeszłości. Znam cię: pomimo miłości nie przebaczyłbyś mi nigdy, że cię wytrąciłam z kolei twoich pojęć o obowiązku, że cię wystawiłam na naganę świata. O, ja cię przeczuwam, bo ja cię kocham. Nie przebaczyłbyś, nie zapomniałbyś nigdy, żem cię zmusiła uczynić to, na co się wzdryga twoja duma, twoja wola męzka, a to byłoby dla mnie śmiercią, tysiąc razy boleśniejszą, niż każda inna. Nie troszcz się o mnie: potrafię wyżyć myślą i przekonaniem, że mnie kochasz! Patrz, jak jestem odważną! Pozwól, abym ci tylko raz jeszcze zaśpiewała pieśń twoją ulubioną, a potem... potem oddal się, nie mówiąc nic do mnie, nawet niepatrząc na mnie. Niech śpiew będzie naszem ostatniem pożegnaniem!

Wacław powstał i, milcząc, przeszedł przez salon do kominka. Ztamtąd najlepiej było mu patrzeć na wiotką postać siedzącej przy fortepianie. Chciał jeszcze raz utonąć w rozkoszy jej widoku, raz ostatni! aby ją już potem nigdy — nigdy niezobaczyć.

Miała ona słuszność: Wacław nie byłby jej nigdy przebaczył, że gwałt jej uczucia popchnął go przeciw jego woli na drogę, którą iść nie chciał, którą uważał za drogę nieprawą. Byłaż to tylko duma, czy hart szlachetnie wyrobionego charakteru? Co będzie przecież z nią, która jawnie przyznawała się do niemocy? Przetrwała jednak boleść pierwszego rozłączenia; zaliżby drugie było trudniejszem do zniesienia? Otoczą ją nowe wrażenia i obrazy; Włochy ze swą rajską naturą, z cudami swojej sztuki, przyłożą jej balsam na ranę. Tym

sposobem los, albo może niebo chciało jej i jemu dopomódz.

Mimo to przecież, nie mógł teraz oprzeć się niewymownemu bólowi, który ścisnął mu serce, wznosząc się do najwyższej potęgi, gdy wpatrywał się w to wzruszone oblicze ukochanej, które ukazywało mu się jakgdyby z poza mgły. Ciężką była chwila pożegnania! Oczy Wacława tak tonęły we wdzięcznej postaci, jakgdyby chciały unieść jej obraz nazawsze, każdy najdrobniejszy rys jej twarzy, każde poruszenie wpajał sobie w pamięć, jakgdyby na wieczność.

Wtem zabrzmiała pieśń o fiołkach, płynęła słodko i zcicha, jakby z oddalenia, lecz przy słowach:

„Skłonił się i zamarł—lecz cieszy się jeszcze!...“ złamał się głos ukochanej, głowa Jadwigi opadła na nuty. W tej samej minucie Wacław był już przy niej. Jego ramiona objęły słaniającą się postać, a usta jego szeptały jej do ucha wyrazy najnamiętniejszej miłości! Jej głowa spoczywała na jego piersiach, a on przyciskał ją do siebie w upojeniu szczęścia i rozpaczy zarazem; dotykał się jej woniejących włosów, nachylił się, drżąc cały nad nią, jej oddech owionął go, i nareszcie na wpół bezprzytomnie spojrzała na niego. — Ah! idź już! idź! — mówiła; a głos jej zaledwie słyszeć można było.—Teraz stanę się mocną, teraz potrafię znieść wszystko! Idź i pokaż mi, co to jest siła, wszak powiedziałeś, że tak być musi! Bądź zdrów!

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

W jednym z ostatnich numerów *Revue des deux mondes*, w powieści Oktawiusza Feuillet: *Le journal d'une femme*, znajduje się rozumny ustęp o kobiecie i obowiązku. „Kobieta przejęta uczuciem obowiązku — określa jedna z osób powieści — nie szuka w życiu romansu, bo romans dobry nie istnieje; nie szuka w życiu poezyi, ponieważ obowiązek nie jest rzeczą poetyczną, ani namiętności, gdyż namiętność jest tylko ogładzoną nazwą występku“.—Ale sędziwa matrona, przysłuchująca się tej definicyi, protestuje:—„Przepraszam—woła—lecz nie mogę pozwolić na wygłaszanie takich herezyj w obecności kobiet młodych. Nie rozumiem zgoła manii wiekuistego przeciwstawiania namiętności obowiązkowi. Zawsze obowiązek na prawo, namiętność na lewo, jakgdyby rozdział taki był koniecznością. Czy nie można połączyć namiętności z obowiązkiem, a nawet czy nie należy tak uczynić? Zdaniem mojem jest to przecież tajemnica życia kobiet uczciwych. Obowiązek bez umiłowania go, oh! jakżeż to rzecz sucha. Obowiązek nie ma w sobie poezyi, nie przeczę temu; ale trzeba właśnie upoetyzować go sobie, bo inaczej wypełnienie obowiązku byłoby pozbawionem wszelkiej rozkoszy ducha. Romantyczne usposobienie, które pan tak wyklinasz u kobiet, służy im właśnie do tego, aby odziewać obowiązek poezyą, i ożeń-no się z kobietą, niemającą wcale romantyczności, a zobaczysz jaką będzie?...

— Jaką? zapytano, a staruszka żywo odpowiada.—Będzie taką mianowicie, że wszystko w życiu wyda jej się wkrótce nudnem i bezbarwnem, najpierw mąż, potem dom, dzieci, religia nawet. Nie przeciw nastrojowi romantycznemu trzeba dziś obwarowywać młodość, bo nie z tej strony grozi nam niebezpieczeństwo. Nie giniemy przez zapał serdeczny, ale przez płytkość ducha. Wracając przecież do pokornej płci naszej, o którą chodziło, do kobiet, proszę mi powiedzieć co to są za jedne te, o których najwięcej mówi się w Paryżu, te, o których mówi się zanadto? Czy to wyobraźnia poetyczna spycha je w dół? Czy to poszukiwanie ideału stawa im na zdradzie? Oh! dla Boga! Trzy czwarte tych kobiet zaliczyć trzeba do najpuściejszych głów, do najtępszych wyobraźni pod słońcem. Panie i panny, słuchajcie mnie!... Bądźcie entuzyastkami, bądźcie romantyczkami, o ile was stać na to. Niech każda z was pielęgnuje choć ziarnko poezyi a uczciwość stanie się wam łatwiejszą, szczęście będzie pewniejszem. Poetyczne uczucie kobiety przy ognisku domowem, to coś jak muzyka i woń kadzidła w kościele—to wdzięk w cnocie!

Zrobimy tu tylko jedną uwagę od siebie, tę: że autor francuzki, malując obraz wewnętrznego stanu kobiety nie zawsze właściwie używa wyrazu który u nas wytłómaczy się przez namiętność. Myślał on niewątpliwie o uczuciach silnych i gorących, które wziął za jedno z namiętnością, o miłości wielkiej i „mocnej jak śmierć“, która może łączyć się z obowiązkiem, może obowiązek przenikać i rozgrzewać go ogniem zapału swojego. Uczucie takie przechodzi zwykle w namiętność dopiero wtedy, gdy spotyka się z przeszkodami, które z nim walczą, co przy spełnianiu obowiązku zdarza się rzadziej, niż wtedy, gdy uczucie owo z obowiązkiem się rozchodzi, gdy istota nasza jest przez ten obowiązek w jedną, przez namiętność w drugą stronę pociągana. Uczucie w zgodzie z obowiązkiem jest jak wielka, głęboka rzeka, która płynie spokojnie szerokiem korytem swojem; nawet przeszkody materyalne, okoliczności życia zewnętrzne nurtów uczucia tak nie wzruszą, fal jego tak do dna nie zamącą, w groźne bałwany nie spiętrzą, jak wtedy, gdy burza zawre w nas samych, gdy skłócona ducha spokojność równowagę moralną zmiesza, szałem namiętnym umysł i serce napełni. Dla tego w wielkich tragedyach, w wielkich epopejach najwyższego patos, jeżeli tylko bohater zostaje w szlachetnej zgodzie z cnotliwemi serca swego uczuciami, nawet przy wyprężeniu tych uczuć najwyższem odziewać go zwykła powaga spokoju dostojnego, wielkoduszny nastrój klassyczny, a wtedy dopiero targa się i szamocze namiętnie, jak Medea, jak Orest przez furye ścigany, gdy ogień występny pierś mu rozpala.

Ale najdoskonalej prawdziwem jest wszystko, co Feuillet mówi o romantycznem usposobieniu i poetycznem uczuciu kobiety, co razem jedno znaczy i jest poetycznością, takim ducha nastrojem, który na przedmioty otoczenia swego rzuca idealne światło z głębi własnej wypromienione. Natura obowiązków kobiecych potrzebuje, wymaga tego. Choćby kobieta, zapatrując się na nie zajmowała umysłem to stanowisko podniosłe, z którego ogół życia już widzianym być może, więc rzeczy drobne ukazują się oku jako cząstki całości wielkich, zatem w ważności swojej małemi być przestają, choćby znała wartość i znaczenie szczegółów, z jakich się wykonywania obowiązków przeznaczenia kobiecego składa—życie rodzinne musi mieć dla niej poezyę swoją, aby uszczęśliwiało i zapełniało życie. Kobieta oschłego serca i płytkiego ducha najpierw się skarżyć zaczyna na pospolitość i poziomość istnienia swego, najpierw w niem próżnię uczuje i nudzić się zacznie, do wesołości, uśmiechu, jakiegoś święta życia koniecznie świata i jego wystawy, strojów i zbytków zapotrzebuje i przy domowem swem ognisku ani nikomu szczęścia nie da, ani go sama nie weźmie.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— *Wł. N—i.* — *Stopniowana droga do książki*, czyli ułatwiony sposób nauki czytania, pisania, rysunki i pierwszych zasad pisowni, przez *Wicentego Trybulskiego*, z 45 drzeworytami w texcie i jednym tytułowym, ze wzorkami rysunkowymi i kaligraficznymi, oraz ze szczegółowemi objaśnieniami dla uczących.—Warszawa 1878 r. (Nakład autora).— *Ruchome abecadło kolorowe*, przez autora „Stopniowanej drogi do książki“

Sam tytuł streszcza już pierwszą z powyższych książek i pokazuje, co ona w sobie ma zawierać. Jestto ni mniej ni więcej tylko elementarz, ale elementarz odpowiadający najzupełniej współczesnym wymaganiom metodyki, najobszerniejszy z dotychczasowych polskich elementarzy. Wydany nader starannie nakładem autora, zawiera on w 8-ce większej 72 str. elementarza, XVI tablic wzorów rysunkowych i kaligraficznych, 116 str. objaśnień petitem.

Autor pierwszy raz wystąpił na widownię literacką; nie pretensya go wywołała, ale doświadczenie i miłość przedmiotu. Autor pracę swą matkom poświęca. Praca jego jest elementarzem w najobszerniejszem słowa tego znaczeniu; jak najtroskliwsza matka pragnie on, aby wszystkie elementa, wszystkie przyrodzone talenta dziecka harmonijnie rozwijać, żadnego niezaniedbując.

Pierwsze 10 lekcyj autor nazywa wstępem, poświęca je poglądowym pogadankom przy stawianiu punktów i kreśleniu linijek, pisaniu lasek i części składowych liter. Potem dopiero następuje nauka czytania, którą autor zaczyna od samogłosek, poczem zapoznaje ucznia z jedną tylko spółgłoską (n) i wyczerpuje wszelkie możliwe wyrazy, powstałe z kombinacyi tej spółgłoski z samogłoskami (on, no, na, ona, noc i t. d.); tak więc dziecko, poznawszy zaledwie kilka liter, zaczyna już czytać. W następnych lekcyach autor przybiera po jednej literze, zostawiając na sam koniec kombinacye ze spółgłoskami miękkiemi, jako najwięcej przedstawiającemi trudności w czytaniu. Każda lekcya jest urozmaicona, bo składa się z pogawędki, z rozbierania wyrazów na dźwięki, lub składania ich z dużych liter, przy użyciu abecadła ruchomego, z odczytywania odpowiednich regułek, z pisowni i rysunku.

Abecadło kolorowe, którego rozkład w przedziałkach pudełka, urządzonych podług zasad fonetyki, jest nowym pomysłem, przedstawia wiele korzyści, bo po pewnym czasie użycia go uczeń pozna praktycznie główniejsze zasady pisowni, zaznajomi się bezwiednie z podziałem zgłosek; co wielkiem stanie mu się ułatwieniem przy nauce gramatyki.

Pan Trybulski jest może mniej wprawnym pisarzem niż pedagogiem, i praca jego może mieć pewne zarzuty w szczegółach; w całości jednak przedstawia się pięknie i poważnie, jako praca człowieka fachowego i zasługuje na serdeczne poparcie, nietylko matek, którym jest przypisana, nietylko nauczycieli, ale i wszystkich tych, którym początki rodzinnego języka nie są obojętne.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tytułem: Kłamcy.

TREŚĆ. Antoni Malczeski, (życiorys). — Pogawędka. — Dzieje wieczorne lasu, (poezya), przez Wiktora Chamca. — Dwaj myśliciele francuzcy z XVIII wieku, (dalszy ciąg), przez S. K. — Vanina Ornano, dramat, (dalszy ciąg), przez J. K. S. — Połączeni na zawsze, (dalszy ciąg), powieść El. Polko, tłóm. przez Ewelinę Kłoskowską. — Drobne listki. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Августа 1878 года.